

w kostkę. Władziu zdążył dostrzec wyhaftowany misternie cieniutką srebrną nicią herbowy bróg w rąbku chusteczki.

— No, biskupie — polubownie powiedział książę, bo już zrobiło mu się Gerwarda żal. — Na obronę kraju, sprawę wspólną, a nie na prywatę Święca ci dobra musiał zająć. Pogódźcie się — poprosił, przybierając ojcowski ton.

— Nie — twardo odrzekł biskup. — Nie powiedział ci mój brat, dlaczego Święca własnych dóbr nie ruszył, tylko na moje rękę podniósł?

— Coś tam Przezdrzew wspomniał — skrzywił się Władek.

— Jak tylko wspomniał, to mu kości porachuję, niewdzięcznikowi! — zachnął się Gerward i krzyknął donośnie: — Stasiu, podejdź proszę, żebyś miał świadka, gdy z naszym ukochanym księciem rozmawiam.

Zwinnym ruchem między biesiadującymi prześlizgnął się ku nim mężczyzna o połowę szczuplejszy od Gerwarda, ale nadzwyczaj do niego podobny. I także łysy.

— Trzeci z mych braci, Stanisław Leszczyc, prepozyt kruszwickiej kapituły — przedstawił go Gerward i wtajemniczył. — Stasiu, usiądź, za pozwoleniem księcia, o Święcy mówimy.

Gruby kocur i kocurek na dorobku — pomyślał rozbawiony na chwilę Władysław i skinął Stanisławowi, że może spocząć przy nich.

— Sprawa jest kluczowa i zupełnie zmienia obraz rzeczy — podjął Gerward. — Młody Piotr Święca od Václava dostał wielkie nadania ziemskie, on teraz pierwszy pan na Pomorzu i wyobraź sobie, mój książę, że siedzibę sobie w Nowem nad Wisłą stawia. Budowa zakrojona tak, jakby to miał być książęcy gród! Zamek, a i chodzą słuchy, własny kościół z nekropolią rodu. Fury z drewnem, a powiem ci, na nich same dęby i modrzewie, do tego piękne okrągłaki z Wisły wyławiane, piaseczek pod zaprawę bielutki, bloki piaskowca...

Stasiu kiwał głową, potwierdzając każde ze słów brata, a Gerwardowi wyliczającemu te wszystkie dobra oczy lśniły jak kupcowi sukiennemu macającemu zamorskie jedwabie. Władek przerwał mu:

— Dobrze, dobrze. Rozumiem. Ale bądź człowiekiem, Gerwardzie, i pomyśl. Gdybyś ty akurat siedzibę biskupią budował, tak wspaniałą jak ta, w której mnie gościsz, i pech by chciał, że w tym samym czasie miałbyś, powiedzmy, najazd tatarski...

— Tu Tatarzy nie docierają — wtrącił się biskup, a jego brat szybko potwierdził.

— No to krzyżacki — sprytnie zagiał go Władek. — I potrzebowałbyś gotówki na wojsko, by ziemi bronić, a całą miałbyś zaangażowaną w budowę, to gdzie byś szukał wsparcia? Przecież kraju spustoszyć byś nie dał. Broniłbyś.

— Broniłbym — przyznał Gerward spokojnie i natychmiast dodał chytrze: — Ale w życiu bym nie pozwolił sobie na władowanie całej posiadanej gotówki

— Tego w warunkach nie było! — zachnął się Święca.

— Bo to niespodzianka — uśmiechnął się książę. — Świętosław z rodu Pałuków. Ziemia nakielska oddała się pod me rozkazy. To brama na Pomorze. — Podniósł palec w górę, bo zdawało mu się, że Piotr za nim nie nadaża.

— Świętosław z rodu Pałuków — wyszeptał poblady Piotr Święca, a rybogryf na jego piersi nerwowo uderzył skrzydłami. — Siostrzeniec biskupa Gerwarda Leszczyca, to rzeczywiście niespodzianka.

Siostrzeniec tłustego kocura? — jęknął w duchu Władysław. — Psiakrew, tego nie wiedziałem. Mówiło się o jego ojcu, ale słowem o matce. A to mnie wrobił Gerward, ale już się nie wycofam. Cholewy z gęby nie zrobię. — Przełknął ślinę i powiedział polubownie:

— My, mężczyźni, nie rozmawiamy o matkach, ale o ojcach. Ty też rybogryfa nosisz po Święcy, a nie po... jak tam było waszej pani żonie i matce?

— Samborówna — złowieszco powiedział stary Święca. — Książęca krewna.

— Zaczyna rodzina — przytaknął Władysław, myśląc, że niechcący wdepnął na grząski grunt i trzeba z niego zmykać. — Boguszo, co nam jeszcze zostało?

— Proces namiestnika Piotra z Gerwardem — podpowiedział Bogusza. — O odszkodowanie.

Obaj Święcowie najwyraźniej na tę część rozmów czekali z największym napięciem, bo w sprawie procesu Władysław nie udzielił negocjatorom żadnych pełnomocnictw.

— Tak. Trudna sprawa. Mówiłem z biskupem, żeby ci odpuścił, ale było za późno, już sprawa w sądzie.

— Biskup Gerward — odezwał się Piotr z ledwie skrywaną złością — jest wyjątkowo pazerny.

— Nie wypada tak mówić na osobę duchowną — skarcił go Władysław, choć myślał tak samo. Westchnął głośno i rozłożył ręce. — Cóż, wyrok jeszcze nie zapadł, kto wie, może będzie niewysoki? Na ile szacujesz, wojewodo, straty poczynione biskupowi?

— Zająłem mu spichrze na potrzeby wojska — odrzekł Święca. — Ile warte były zapasy? Sto grzywien, nie więcej.

— A zniszczenia? — dopytał skrupulatny Bogusza. — Po mym krewnym, biskupie, należy się spodziewać, że wyceni każdy spichlerz, stodołę...

— ...i psią budę — wyrwało się Władkowi.

— Nie umiem orzec — powiedział Święca. — Książę, widzę, dobrze już oceniłeś Leszczyca. Ale byś nie sądził, że tylko w jego dobrach szukałem ratunku w chwili próby, nadmienię, że szukając pieniędzy, wieś Rywałd zastawiłem Krzyżakom. Warta była ze dwieście, dwieście pięćdziesiąt grzywien, komtur dał mi czterdzieści. Zbójcecki rachunek wojenny. Zastawiłbym więcej majątku, ale

w Nowem trwa budowa. Jeśli teraz Gerward ze mnie zedrze tytułem odszkodowania, zostanę z gołymi rękami, a sam wiesz, książę, że mamy Brandenburczyków nad granicą.

— Wiem — uciał Władek. — Zrobmy tak: ponieważ to były wydatki wojenne w obronie granic pomorskich, uznam je za poniesione w moim imieniu. To znaczy tę część, która będzie dotyczyła zagrabionych Gerwardowi dóbr. Zniszczenia zostają po twojej stronie.

— Dziękuję, książę — ukłonił mu się z ulgą Piotr Święca. — Bez twojej pomocy nie dam rady.

Władek skinął głową i przeniósł spojrzenie na ojca. Stary Święca pod wzrokiem księcia pochylił głowę nisko.

Wjazd orszaku Władysława do Gdańska był imponujący. Przodem jechali chorążowie z półorłami i półlwami na sztandarach. Za nimi chorągiew z białym orłem bez korony.

— Jeszcze nie król, ale już coraz bliżej! — zakrzyknął Ogończyk i unosząc się w siodle, obrzucił wzrokiem niekończący się orszak. Było się czym zachłysnąć.

Potem jechał namiestnik Północnego Pomorza, Piotr Święca, z wielkim jak smok rybogryfem na srebrnym tle chorągwi. Po jego prawicy ojciec, stary Święca, z godnością wojewody gdańskiego i słupskiego; za ich plecami młodszy bracia Piotra, Wawrzyniec z Darłowa i Jan ze Sławna, z mniejszymi od namiestniczych rybogryfami. Dalej nowy wojewoda tczewski Świętosław ze świtą Pałuków i krzyżowym toporem nad głowami. Następnie biegli grajkowie z piszczałkami i dopiero za nimi orszak namiestników Południowego Pomorza, jego bratanków, kujawskich braci. Przemko i Każko z półorłami i półlwami, tyle że nie na purpurze, jak Władek, a na błękicie. Obaj książęta w jasnych herbowych płaszczach, na takich samych jabłkowitych ogierach, brat z bratem strzemię w strzemię. Otaczał ich hufiec inowrocławskich rycerzy.

Po nich jechała świta biskupa Gerwarda i on sam, pod niesionym przez sługi złotym baldachimem, który miał wyobrażać jego herbowy bróg. W pysznie fioletowym płaszczu, na rumaku, który był potężny jak rycerski wierzchowiec, Gerward Leszczyc wyglądał jak książę. Za biskupim baldachimem podążał konno jego brat, Stasiu, skromny prepozyt kruszewicki z grupą kanoników, proboszczów i Bóg jeden wie jakich urzędników biskupa.

Następnie giermkowie prowadzili luźne, nieosiodlane konie, z grzbietami przykrytymi barwnymi kropierzami rycerstwa Małej Polski, ziemi sieradzkiej, sandomierskiej, łęczyckiej i Kujaw. Borutka zamykała ten pochód, wiodąc swego karego ogierka pod szarymi barwami krakowskich Gryfitów.

— Wygląda jak giermek wojewody Wierzbięty — pochwalił ją pierwszy raz jadący obok Władka Ogończyk. — Wierzbięta wziął ją na służbę?

— A gdzie tam! Co ona jest, jakaś sługa najemna? — obruszył się Władek.

was nie będzie na wodzie!

Biskup Wachholtz przeżegnał się z trwogą. Stary Święca uniósł oczy przerażony. Piotr i jego bracia patrzyli na Waldemara, jakby był demonem. Mechtylda przyjęła postawę wyczekującą. Pasowało jej, że młody margrabia ich postraszył.

— Istotnie, wasza sytuacja jest skomplikowana — spokojnie włączył się Otto ze Strzałą.

Piotr i jego bracia wciąż nie odrywali wzroku od Waldemara, ale Otto mówił dalej:

— Gerward złamał finansową potęgę waszej rodziny, a książę Władysław nie okazał się lojalnym sojusznikiem. Nie pomoże wam spłacić długu, a jak jest nam wiadomym, poza księciem poręczyła za ciebie, Piotrze, wyłącznie rodzina. Zostaliście sami ze swym kłopotem. Piękna rezydencja w Nowem nad Wisłą, ta, o której budowie krążą po Pomorzu opowieści, pójdzie wniwecz.

Mechtylda widziała, jak wszyscy Święcowie, nawet ojciec, zamrugali w jednej chwili. Spojrzała na Waldemara. Ten spoczął na swym miejscu, jakby nic się nie stało przed chwilą. Założył ręce na piersi, odchylił się w tył i siedział.

— Wchodząc w nierozzerwalny związek z naszym rodem — odezwała się wreszcie Mechtylda — dostajecie trzy szanse. Pierwszą jest odbudowanie majątku. Drugą uniezależnienie się od Gerwarda. Trzecią zemsta na nielojalnym księciu.

— Zgoda — sucho powiedział Piotr.

— Synu — ojciec złapał go za rękaw. — Jesteś pewien, że chcesz to zrobić?

— Nie mam wyjścia, ojcze. — Gdy to mówił, zadrgały mu szczęki.

— Ale ja... — Starzec wpatrywał się w niego bladymi źrenicami.

— Klękałeś przed polskim królem — bez drwiny w głosie, z powagą powiedział Waldemar. — Ja, stary Święco, jestem siostrzeńcem tego króla, przed którym zgiąłeś kolano. Najbliższym żyjącym męskim krewnym.

— W jego żyłach płynie krew Piastów i Askańczyków — potwierdził Otto ze Strzałą.

Święcowie popatrzyli po sobie; Mechtylda przejęła stery.

— Podajcie chłodzone wino! — klasnęła.

Jej służąca, Dagmar, czuwała na zewnątrz namiotu. Na znak Mechtyldy wpuściła chłopców służebnych, którzy wyjęli dzbany wina z cebrów z wodą, otarli je i napełnili kielichy.

Gdy każdy miał naczynie w dłoni, Otto ze Strzałą powiedział:

— Nim dopełnimy formalności, jest ważna rzecz do uzgodnienia. Nieodzowna, byśmy ofiarowali wam te hojne warunki umowy.

— Jaka? — uniósł oczy znad kielicha Piotr Święca.

— Gdańsk — powiedziała Mechtylda i rozchyliła usta. — Gdańsk, mój Piotrze.

ze swych najwierniejszych rycerzy i choć Ogończyk w kółko mu przypominał, by przy małopolskich panach nie nazywał kujawskich „najlepszymi”, nawet jeśli to prawda, to Włodek przyciskał do piersi Pomianów, Powalów, Leszczyców, Godziembów i Korabitów. Ale zaczęli od „wieczny odpoczynek”, bo okazało się, że ojciec Jałbrzyka, Bachorzycyca i Rozdziała, stary kasztelan brzeski Przeclaw Pomian, zmarł.

— Pamiętam, jak wasz rodzic, a mój druh, walczył za mnie i na banicję ze mną chciał iść. Widzę go, jak stoimy nad Pilicą, przy przeprawie, jak unosi rękę i powierza mi was, Jałbrzyku, Bachorzycu. Jakby to wczoraj było — powiedział Władysław, gdy wszyscy stanęli nad grobem Przeclawa.

— Druhowie odchodzą, ale przyjaźń zostaje — szepnęła za jego plecami cichutko Borutka i usłyszała, jak chlipie.

Sam by płakał, ale po pierwsze, jest mężczyzną i księciem, a po drugie, jakoś słowa Borutki natychmiast zapadły mu w serce.

— Druhowie odchodzą, ale przyjaźń zostaje! — powtórzył głośno. — Na dowód tego kasztelanem po ojcu zostanie Bachorzyc. A drugi po starszeństwie, Rozdział, podkomorzym! A ty, Jałbrzyku... — zawahał się, bo nie pamiętał, co mu jeszcze z urzędów zostało do rozdania.

— Ja przy księciu! — zaprotestował Jałbrzyk.

— Nie, synu. Ty zostaniesz na Pomorzu, jak tylko skończymy ze Święcą. Później ci nadam urząd, nie będziemy tak nad grobem...

— ...kancelarii otwierać — podpowiedziała szeptem Borutka i powtórzył po niej, bo to też było jak raz, na miejscu. Oficjalnie a niezobowiązująco.

Wieczorem zebrał wodzów na naradę.

Stawili się ci, na których liczył, choć po zdradzie Święców nieufność mocno zapadła mu w serce. Świętosław z rodu Pałuków, którego zrobił wojewodą tczewskim, nie zawiódł. Bogusza, sędziego gdański wraz z synem Przybigniewem, a przy nich kasztelan gdański, Wojciech, i pucki, Wojsław. Bratankowie, Kaziu z Przemkiem, przysłali wojewodę i kasztelana świeckiego pod jego rozkazy. Z ziemi słupskiej, z której Święcowie złożyli hołd Brandenburczykom, nikt się nie stawiał.

— Gdzie zdrajca? — spytał Władysław ostro.

— W swoich dobrach, w Nowem — odpowiedział Bogusza.

— Wierność rybogryfa roku nie wytrzymała! — pieklił się Włodek. — Co to za zdrazieckie nasienie?! A mówił kiedyś arcybiskup, że bestie mieszańce są...

— Wino dla księcia pana — przerwała mu Borutka, stawiając przed nim tacę.

W samą porę, niepotrzebnie z tymi mieszańcami wyskakiwał, jego półlew i półorzel już zaczynały się srożyć i chcąc przygadać Święcy, tylko ściągnął na siebie uwagę. Wziął łyk i kazał polać wodzom. Borutka z wdziękiem załatwiła

sprawę.

— Borwin przyjechał? — spytał Władek o dowódcę pomorskich zwiadowców.

— Czekaj przed namiotem, książę.

— Wołać!

Gdy niewysoki i płowowłosy Borwin pochylił się przed nim w ukłonie, Władek już pytał:

— Co się gada na dworze Święców? Jaka jest prawdziwa przyczyna tej zdrady? Czyba nie spłata biskupa Gerwarda, co?

— Mówią dwojako — odpowiedział Borwin. — Pierwsze, że Piotr nie miał jak spłacić biskupa i naprawdę liczył na twoje wsparcie, panie; drugie, że książę Władysław daleko, a margrabiowie blisko, i Święca uznał, że na tak odległym księciu nie będzie mógł polegać w trudnych chwilach. Są jeszcze trzecie głosy, najciekawsze.

— To dlaczego od nich nie zaczynasz? — zrugął go Władek.

Wolał nie słuchać o sobie jako o księciu, na którym nie można polegać.

— Wybacz, panie — przeprosił Borwin. — Gadają, że Święca był ułożony z margrabiami na długo przed tym, nim tobie hołd złożył...

— A to kłamca! Wiarołomca! — zapieklił się Władysław i ponaglił dowódcę cichych ludzi: — No, dalej!

— Ponoć godność starosty, jaką obdarzył go król Václav, była okupiona zgodą Święcy na oddanie Pomorza Brandenburgii i tylko dlatego, że margrabiowie się wcześniej osobiście nie pofatygowali do niego, zgiął kolano przed tobą, panie.

— Słyszycie? — ryknął Władysław do zgromadzonych. — Oto przekupna łaska wielkich panów Święców! Oto ich książęce mniemanie o sobie! A jakby margrabiowie przede mną przyjechali na Pomorze, to co? To przyjąłby ich rok temu? To tylko gadanie, że chodzi o spłatę Gerwarda, gadanie! Szukanie pretekstu, jak się wyślizgać od grzywny i jednocześnie wymówić mi posłuszeństwo. Nie mogę tego słuchać!

Borwin skłonił się i zaczął wycofywać po cichu.

— Ty stój — krzyknął za nim książę. — Nie mówiłem, że ciebie nie chcę słuchać, tylko wykrętów Święców.

— Zostań, panie Borwinie — spokojnie powtórzył Paweł. — Nasz książę nie zabija posłańców.

— Radźmy, jak dopaść zdrajcę — zarządził Władysław. — Gdzie on jest, potwierdź, Borwinie.

— Piotr siedzi w Nowem, jego brat Wawrzyniec w Darłowie, rozbudowy portu pilnuje, a brat Jaśko w Sławnie. Ich ojciec, stary Święca, zapadł się pod ziemię...

— Ze wstydu! — krzyknął Świętosław.

— Ze wstydu — powtórzyli zgromadzeni.

— No to radźmy — rozkazał książę.

— Uderzyć jednocześnie na wszystkich trzech Święców — powiedział kasztelan świecki. — Żeby jak pluskwy zdusić.

— Nierealne — skrytykował Bogusza. — Zbyt mocno rozrzucone ziemie.

— Obstawić Nowe wojskiem i po cichu szukać starego Święcy na Pomorzu — rzucił kasztelan gdański.

— Ubezpieczyć Gdańsk — zaproponował Bogusza — i dopiero wtedy na Piotra ruszyć.

— Dobra, koniec radzenia — przerwał to Władysław. — Gotowość przed świtem. Do siedziby Święcy mamy dzień jazdy. Pierwszy pojedzie lotny oddział, który spróbuje wziąć Nowe z zaskoczenia. Reszta za nim. Otaczamy miasto, podpalamy i wyłuskujemy każdego rodowca Święców. A Piotrowi włos z głowy ma nie spaść. Chcę go żywego. Zrozumiano?

— Tak jest, książę!

— Lotnym dowodzi Chwał Doliwa, drugim ja sam. Dobranoc.

Pędzili po śniegu ubitym kopytami koni z oddziału Chwała. Popasy krótkie, tyle, żeby wierzchowcom dać wytchnienie. Władka gnała wściekłość, niezgoda na ciągłe zdrady wielkich panów! Pamiętał to palące uczucie nazbyt dobrze. Starszą Polskę, którą wyjęli mu z rąk baronowie. Nie pozwoli, by Święca poniżył go bluźnierczym hołdem z ziemi należącej do Królestwa! Oto sprzedawczyk, co zmieniał panów szybciej niż dama kiecki! Przemysław II, jego bratanek Leszek, on sam, potem Václav II i Václav III, znów on i Brandenburczycy!

— Gore! — krzyczał, aż szron osiadał mu na wąsach.

Był człowiekiem kujawskich równin, gdzie wiatr hulał, zakochanym bez pamięci w Krakowie, bo to tam był ostatni tron seniora. Ale wiedział, że bez Starszej Polski i bez Pomorza nie odbuduje Królestwa i teraz, gdy wraży rybogryf to Pomorze na tacy dał margrabiom, Władysław wiedział, że nie może tego puścić płazem.

Nim dojechali pod mury Nowego, zobaczyli pożogę. Bogoria puścił się ze zwiadem i wrócił chwilę później na spienionym koniu, krzycząc:

— Zwycięstwo! Zwycięstwo, książę! Zdrajca pojmany.

Zwolnił Rulkę w biegu, ale nie zatrzymał się. Chciał z bliska zobaczyć płonące Nowe, ten symbol zdrady, podarunek od czeskiego króla dla swego starosty. Już widział, jak łopoce na wietrze zajęta ogniem chorągiew z rybogryfem. Bestia z sykiem miotała się na wietrze rozniecającym ogień. Podjechał bliżej i dostrzegł, że to, co płonie, to strzechy chałup i drewniane rusztowania okalające kamienną wieżę w budowie.

— Zachciało ci się wieży, jak księciu — strzyknął śliną.

Naprzeciw niemu jechał Chwał Doliwa, na koniu obok jego syn, Bolebor,

chłopak, co był z Władkiem na banicji. Obaj trzymali w rękach sznury biegnące do szyi jeńca, który szedł między ich końmi. Piotr Święca odarty z herbowej tuniki, w osmolonej koszuli, spocony i czerwony od gorąca, potykając się, usiłował nadążyć za Doliwami.

— Książę! — krzyknął Chwał. — Podjezdek oderwał się od ojcowego stada i chciał dołączyć do stajni obcego pana.

— Aleśmy go złowili i zwracamy ci, panie, twą własność — dokończył Bolebor.

Władek zakręcił się na Rulce, wołając do swych wojsk:

— Podjedźcie bliżej! Wszyscy! Spójrzcie, co czeka zdrajców! Sznur, poniżenie i nieuchronna kara! Zwołajcie tutejszych, niech ugaszą pożary. Będziemy wieczerzać w Nowem!

Z początku, póki wrzał w nim gniew, chciał podczas wieczerzy trzymać Święcę przy sobie, na postronku. Ale gdy przygasł ogień pożogi i miejsce na posiłek było gotowe, zgasła i w nim furia.

Nie godzi się — pomyślał, otrząsając się ze złości. — Władca musi okazać surowość i wspaniałomyślność, mają się mnie bać, ale i szanować.

I kazał Piotra zamknąć pod strażą.

Smutna to była wieczerza. Smak tryumfu mocno okopcony spalenizną.

— Gdzie ogień płonie, czuć dym — chciała go pocieszyć swoją mądrością Borutka, ale machnął ręką na jej starania.

Potem, gdy przemknęła z dzbanem nadąsana i smutna, pogłaskał tę jej jasną czuprynkę.

— Nie bocz się. Humoru nie mam — wytłumaczył się przed dziewczynką. — Czuję, jakby diabli brali Pomorze!

Przygryzła wargi i bąknęła cicho:

— Diabeł tkwi w szczegółach, tak mówią.

— Kto tak mówi? — zmarszczył brwi Władek.

— Ludzie, a kto ma mówić — wzruszyła ramionkami. — I rycerze pomorscy znów pytają, kiedy książę się pokłoni falom.

— Borutka — wtrącił się Ogończyk. — Co ty znowu wygadujesz?

— Ja tylko powtarzam — najeżyła się dziewczuszka.

— Ale to jakieś przesady są, czy o co chodzi? — dopytał Władek.

— Ty im powiedz, że porządny chrześcijański książę nie może jakiegoś bałwochwalstwa odprawiać. Widział kto takie rzeczy? Kłaniać się falom! — wzruszył ramionami Ogończyk i przysiadł przy Władku. — No, idź już, idź! — machnął ręką na Borutkę. — Nie stój tu nad księciem jak diabeł nad dobrą duszą.

Odeszła, choć obejrzała się jeszcze za siebie chmurnym wzrokiem.

— Bogusza chce pogadać — zajął jego uwagę Ogończyk.

— Wołaj.

— Książę — powiedział sędzia gdański, gdy dosiadł się do nich po chwili.
— Porachowaliśmy ludzi Święcy i nie ma się czym cieszyć. Tu, w Nowem, było ich niewielu. Piętnastu rycerzy, do tego giermkowie, służba.

— Nie spodziewał się nas? — spytał Władek.

— Ci, których wzięliśmy na spytki, mówili, że się spodziewał najwcześniej wiosną i przez głowę mu nie przeszło, że książę może nadjechać w środku zimy.

— Nie docenił nas — w zadumie powiedział Władek. Zamiast się tym ucieszyć, poczuł smutek.

— Święcowi ludzie mówią, że margrabiowie też przed wiosną nie przybędą. Mają swoje porachunki z Mikołajem księciem Werle.

— Pazerne czerwone orły — skrzywił się Władysław. — Po naszymu to „Orle”, nie „Werle”. Księstwo powstało po trupie Niklota.

— Ostatni wolni ludzie, tak ich nazywano — przytaknął Bogusza.

— No dobra — otrząsnął się błyskawicznie Władek. — Nie czas żałować tych, co walczą z margrabiami, bo i nas nikt nie pożałuje. Musimy się naradzić, co dalej. Czekać na Brandenburczyków do wiosny? Życia szkoda. Wracać do Krakowa, a wiosną znów ciągnąć na Pomorze? Też nie robota. Borwin wrócił? Potwierdza te nowiny?

— Nie, nie ma go jeszcze — zaprzeczył Bogusza. — Skoro jesteś tu, panie, dobrze by było, byś się z gdańszczanami spotkał.

— Ja? — obruszył się Władek. — Tyś miał z nimi gadać.

— Dobrze by zrobiło przyszłym rozmowom, gdyby sam książę...

— Jezu, Bogusza! Czyś ty zgłupiał? — złapał się za głowę Władysław. — Spotykać się z każdym, kto ma sprawę, to może mały dzielnicowy książę, ale nie ja, na Boga! Ja mam Małą Polskę, Sandomierszczyznę, sieradzkie, Kujawy i Pomorze, no teraz to już mam je pół na pół, do odzyskania, bo część Święca Brandenburczykom wydał jak własne. Od tego mam ludzi, rozumiesz? W przypadku Gdańska ciebie. I albo sobie poradzisz, albo cię zmienię.

— Postaram się — chmurnie powiedział Bogusza. — Ale pamiętasz, książę, że dochód z Gdańska jest dwa razy taki jak z...

— Pamiętam — z naciskiem odpowiedział Władysław.

— Gdańszczanie to wiedzą i się cholernie cenią — jęknął Bogusza. — W dodatku sprawa lubeckiego kantoru nie ułatwia porozumienia.

Władek poczuł przyływ złości, chwycił Boguszę za kaftan na piersi i przyciągnął do siebie jak worek z żytem.

— Poradzisz sobie czy nie? Mów teraz, bo zawołam Chwałę Doliwę, tego zucha, co Święcę mi na postronku przyprowadził, i jego zrobię odpowiedzialnym za Gdańsk! Decyduj się!

— Poradzę sobie.

Puścił go. Zebrani udawali, że nie widzą, wlepili wzrok w talerze albo

Rzeczywiście, była w lepszym stanie. Potężna murowana wieża okopcona u szczytu, ale widocznych z zewnątrz zniszczeń nie było tyle, by nie móc w niej od razu zamieszkać. Kilkanaście domów, przed którymi stanęli w milczeniu mieszkańcy. Najpierw unosili głowy w górę, patrząc na niego, gdy powoli przejeżdżał obok, a potem dostrzegł, że odwracają się i patrzą na szczyt tej wieży. Powędrował za ich spojrzeniem. Na jesiennym wietrze łopotała spłowiwała chorągiew z orłem. Zatrzymał konia i zwrócił się w stronę mieszkańców:

— Od dzisiaj rycerze Zakonu Najświętszej Marii Panny przejmują obronę grodu gdańskiego i dowództwo, co jest zgodne z ustaleniami poczynionymi z waszym księciem Władysławem.

Bogusza podjechał do niego i potwierdził.

— Moja załoga zajmie w tej chwili gród namiestnika i wieżę, więc jeszcze dzisiaj musicie go opuścić — ogłosił Gunter, patrząc na poblądłe, wymęczone twarze. — Naszym zadaniem jest obronić gród i odbić miasto z rąk brandenburskich i aby je wykonać, muszę działać zgodnie z zakonną regułą, a ta nie przewiduje kobiet i świeckiej służby w otoczeniu mnichów rycerzy. Przejdźcie do drugiej części grodu albo, jeśli macie się gdzie schronić, opuście go, by nie być obciążeniem dla walczących. Moje zapasy przewidują wyłącznie prowiantowanie własnych ludzi.

Widział poruszenie wśród nich. Dzieciaki przyciskające się do matek.

— Ale kierując się zasadą miłosierdzia, dla tych, którzy jeszcze dzisiaj zdecydują się opuścić gród, wydam zapomogę w postaci chleba i grochu. Można się po nią zgłosić później, do mojego kwatermistrza. Wydawana będzie przy furcie wyjściowej.

— Dziękuję — bąknął Bogusza. — W imieniu tych ludzi, dziękuję.

— Powinieneś był się ich pozbyć na pierwszą wiadomość o nadciągających Brandenburczykach — zimno odpowiedział mu Gunter, kierując konia w stronę wieży. — Wiadomym jest, że oblężenia się przeciągają, mogą trwać miesiącami i latami, a zbędne gęby do wykarmienia osłabiają obrońców. Bracia Piotra Święcy są w mieście?

— Owszem — potwierdził Bogusza.

— Dobrze. Za kilka dni komtur z Gniewu przypuści atak na Nowe. Musimy zniszczyć miasto Święcy, bo będzie nam utrudniało komunikację z państwem zakonnym. Część moich ludzi zajmie się naprawą umocnień, ale już jutro wyślę podjazdy, które sprawdzą okolicę. Odetniemy Gdańsk od sojuszników w terenie i zaczniemy obleganie miasta.

— Zamiana ról — sucho powiedział Bogusza. — Oblegający staną się oblężonymi. Oby Bóg poszczęścił.

— Oczywiście — potwierdził z uśmiechem Gunter i obrócił się, wołając Prusa. — Symoniusie, który z twoich chłopców najzwinniejszy?

- Ja sam, komturze — odpowiedział młodzian.
- Dobrze, więc weź z wozu wielką chorągiew zakonu i zawieś na wieży.
- Zdjąć tę z orłem? — obojętnie spytał Symonius.
- Nie trzeba. Niech wiszą obie.

Gunter von Schwarzburg omal nie parsknął śmiechem na widok ściągniętej przez chwilę przerażeniem twarzy Boguszy. Wspaniałomyślnie udał, że tego nie widzi.

— Żegnam, sędzio — powiedział do niego. — Jeśli chcesz uczestniczyć w odprawie moich dowódców, staw się tutaj jutro po jutrzni.

Polscy obrońcy nie sprawiali Gunterowi żadnych kłopotów. Przeciwnie, współpraca z nimi układała się nieźle. Gunter zaczął swe rządy od systematycznego przygotowania okolicy do mającego nastąpić szturmu. Najpierw kazał zbudować przy trakcie na Tczew obóz warowny, by czekał na wojska zakonne, które miał przyprowadzić Henryk von Plötkau. Gdy Brandenburczycy się o tym dowiedzieli, wysłali oddziały zbrojne z zadaniem zniszczenia obozu. Wystarczyło wspomnieć o tym na odprawie, a rycerstwo pomorskie księcia Władysława lojalnie wsparło Rotę Wolnych Prusów i braci zakonnych w odparciu najazdu. W tym samym czasie komtur Gniewu zdobył Nowe nad Wisłą, a cieśle zakonni kończyli budowę machin oblężniczych. Gunter usprawnił jeszcze drogę dla zaopatrzenia i gdy napełnił spichrze w grodzie, uznał, że jest gotów, by zacząć uderzenie na Gdańsk.

Nie spodziewał się cudów. Oblężenia są nudne. Najpierw wezwanie do poddania, potem czas dany obrońcom na podjęcie decyzji i pierwszy szurm. Za nim drugi i trzeci. Przerwa na noc i od rana to samo. Metodyczna robota. Gdańszczanie bronili się jak lwy. Wszyscy tu pamiętają, co przed laty zrobił książę czarny gryf, Mściwój, gdy ukarał mieszczan za bunt, rozrąbując na drzazgi bramy. Gunter wiedział, że gdańszczanie nie poddadzą się, że będą ufali w siłę broniących ich brandenburskich załóg. A jednak coś mu nie grało. Opór był silny, nie w tym rzecz. Obrona skuteczna, wyraźnie prowadzona przez doświadczoną rękę. Mimo to po trzecim dniu szurmów zdał sobie sprawę, że ani razu nie odezwał się do nich margrabia Otto ze Strzałą.

— Symoniusie — wezwał do siebie Prusa. — Wypuść cichych ludzi, chcę wiedzieć, czy margrabiowie są w mieście.

Kontynuował natarcia, zgodnie z planem. Pół załogi szurmuje, drugie pół odpoczywa za murami i zmiana. Komtur chełmiński nie uznawał przemęczania wojsk, miał twarde zasady. Żołnierz musi być wypoczęty, najedzony i mieć dach nad głową, gdy wraca z pola walki. Zwycięstwo jest tylko kwestią czasu. *Salve Regina* przed walką i po walce, zmawiane głośno, chórem. Jedna msza dziennie, nie więcej. Litr piwa na głowę, ani kropli ponad przydział. I, na czas wojny, odstąpienie od postów. Jak dobrze pójdzie, na adwent będzie po wszystkim.